

Wojciech Stanisławski: Między „Kolumbami” a trumną

Z płaskiej karykatury, dobrej w najlepszym razie do drwinek („twardy bądź – jak Roman Bratny”) Emil Marat czyni z powrotem wrażliwego i pełnego słabości człowieka, który fatalnie zwichnął swój los i swoje dzieło.

Trudno o mniej wdzięcznego bohatera – a wskazuję to, chcąc podkreślić odwagę autora. Owszem, w produkcji piśmienniczej nie mało pojawia się różnego rodzaju portretów „bestii”, kryminalnych czy politycznych – ich odbiorcami są jednak zwykle czytelnicy periodyków typu „Detektyw”. Wiele lat temu, gdy postulat gorszenia burżujów miał jeszcze jakiś sens, zdarzały się biografie różnego rodzaju „bestii literackich”, Genetów i Céline’ów, lub książki „demaskatorskie”, odkrywające w herosie transwestytę lub kolaboranta; są to chwytły dość tanie, ale marketingowo skuteczne.

Herosów jednak już dawno zdekonstruowano, a „bestią” Roman Bratny nigdy się nie stał, nawet w oczach swoich najgorętszych krytyków. Hojnie (i niebezzasadnie) obdarzono go, po publikacji „Roku w trumnie” niechęcią, często pogardą – za nią zaś przyszło zapomnienie, a przynajmniej redukcja. Nawet przez osoby ciekawe meandrów literatury polskiej w wieku XX Bratny pamiętany jest jako autor dwóch książek: „Kolumbów” z 1957 i „Roku w trumnie” z 1983. Telewizowie dorzucają jeszcze serial nakręcony na podstawie „Kolumbów”, erudyci –

tytuł którejś z głośniejszych czy lepszych powieści: dla jednych będą to „Szczęśliwi torturowani” (1959), dla innych „Trzech w linii prostej” (1970) lub „Anioł w butach z ostrogami” (1995 – ostatnia, pożegnalna, na poły autobiograficzna, choć zwodnicza książka). Bywalcy antykwariatów mogliby tych tytułów dorzucić więcej, bo zdarzało mu się wydawać po trzy książki rocznie: ale jakie antykwariaty skupują dziś dzieła Bratnego?

Dla ogromnej większości pozostał rozpięty między „Kolumbami” a „Rokiem w trumnie”. Wzlot w latach odwilży (choć przecież nie tak strzelisty jak debiutującego książkowo w tym samym czasie Herberta), coraz niższe kołowanie nad parszywiejącym PRL-em i, w niecałe 30 lat potem, ostateczny upadek: tak z królestwa literatury Bratny trafił do moralitetu. Piewca prostych męskich radości oraz „mądrości etapu” opublikował paszkwil na nastoletnich, zauroczonych „Solidarnością” konspiratorów niedługo przed śmiercią Grzegorza Przemyka – i to w zasadzie zamknęło jego dzieło, choć czekało go jeszcze kilka tytułów i 34 lata życia.

A jednak. „«Kolumbowie» Romana Mularczyka – Romana Bratnego – to według wielu, również moim zdaniem, najważniejsza książka o warszawskiej konspiracji, powstaniu i tużpowojennych losach roczników '20 – pisze Emil Marat we wstępie do książki, by w chwilę później dodać: – Czym byłyby prace historyków bez książek Aleksandra Kamińskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Aleksandra Wata, Lesława Bartelskiego, Seweryny Szmaglewskiej, Jana Kurdwanowskiego, Zofii Posmysz, Stanisława Podleńskiego, bez tysięcy tomów osobistych, subiektywnych wspomnień, bez grających w jeszcze innych rejestrach książek Jerzego Andrzejewskiego i Mirona Białoszewskiego, Bogdana Wojdowskiego i Tadeusza Borowskiego, bez

opowieści Tadeusza Konwickiego, Hanny Krall i sztuk teatralnych Tadeusza Różewicza? Bez wierszy Anny Świrszczyńskiej, Zbigniewa Jasińskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego? I bez «Kolumbów. Rocznik 20»?

Tak właśnie, w skrócie, wygląda powód, dla którego Roman Bratny nie powinien być zapomniany”.

Ten cytat pokazuje horyzont lekturowy (również horyzont emocjonalny, również horyzont świadomości historycznej) autora biografii, i stanowi pierwsze odautorskie uzasadnienie jej powstania – choć niejedyne i choć być może (będę to rozważał później) autor nie zdawał sobie sprawy ze wszystkich swoich inspiracji, urazów, uwarunkowań.

Dla mnie już to pierwsze uzasadnienie jest w pełni wystarczające. Trylogia „Kolumbowie”, ze wszystkimi płyciznami warsztatu literackiego i przemilczeniami, które zniekształcały, a nieraz fałszowały prawdę była źródłem olbrzymich wzruszeń i współtworzyła wyobraźnię historyczną Polaków drugiej połowy XX wieku.

Biała chusta

Z pewnością jest wielu, dla których Bratny – cytując, a właściwie lekko parafrazując kolejny akapit wstępu – „powinien być zapomniany, a jego nazwisko powinno pozostać jedynie synonimem sprzeniewierzenia się wartościom, symbolem pewnej klęski aksjologicznej i literackiej utalentowanego autora, zawodu, anatemy, niesmaku i zażenowania”. Ci

nie odniosą żadnej korzyści z lektury „Hamleta rozstrzelanego”, która spowodować może w czytelniku zdumiewającą przemianę: zmusi go by, nie rozstając się z uczuciami „zawodu, niesmaku i zażenowania”, z lekceważeniem, niechęcią i drwiną – dostrzegli w Bratnym postać prawdziwą i tragiczną. I to dokonanie pisarskie Marata – zarzucenie na głowę skazanego już na infamię pismaka białej świtki, która nie przywraca niewinności, o tym nie ma mowy, ale z nazwiska-hasła, z płaskiej karykatury, dobrej w najlepszym razie do drwinek („twardy bądź – jak Roman Bratny”) czyni z powrotem wrażliwego i pełnego słabości człowieka, który fatalnie zwichnął swój los i swoje dzieło (i co więcej – to też udało się Maratowi dostrzec – u końca swojej kariery był tej klęski rozpaczliwie świadomy) – to rzecz ciekawsza nawet niż wszystkie ustalenia i odkrycia biografisty.

A jest ich multum. Proszę mi wierzyć, czytuję trochę biografii, w tym tych stających do konkursów i nagradzanych: „Hamlet rozstrzelany” to koronkowa robota. Nie tylko na poziomie najbardziej oczywistym: wykorzystania nieoczywistych źródeł, ogarnięcia całej palety opracowań, kompetencji obejmujących zarówno historię wojskowości w II RP, jak podziały frakcyjne w PZPR, gry towarzyskie epoki Tyrmanda czy ścieżki kariery funkcjonariuszy MSW. Tym, co decyduje o jakości tej książki jest panowanie nad ogromnym materiałem, które wyraża się w dwóch, na pozór sprzecznych, mocach ukazanych w tej książce: świetnej selekcji danych – i zarazem umiejętności rozszerzenia obrazu, błyskawicznego odtworzenia szerokiego tła. Jak w niektórych renesansowych portretach (ot, choćby na lubianym przez tyłu wizerunku księcia Urbino i jego żony pędzla della Franceski), gdzie za plecami bohatera rozpościera się hojnie otwarty krajobraz, i jeśli dana nam jest lupka w Google Image albo dzień w Uffizi bez tłoku, możemy policzyć drzewa rosnące nad Jeziorem Trazymeńskim. Podobnie przypis

dolny w książce Marata otwiera nam „tło” na historię policji żydowskiej w getcie warszawskim, losy galerii Aliny Wahl, narodziny i rolę formuły „małego realizmu” w literaturze PRL.

...a to za ledwie dygresje. W głównym korpusie książki pojawiają się naszkicowane lekką (lecz precyzyjną) ręką kwestie tak złożone, jak historia konspiracyjnej organizacji „Miecz i Pług”, dokonujących się w jej łonie zdrad i przewerbowań; panorama postaw „młodych gniewnych” literatów w przededniu i w trakcie konferencji w Nieborowie w styczniu 1948 roku czy zestawienie opinii i taktyki różnych grup pisarzy w przededniu Marca '68.

To – jeśli chodzi o perspektywę, o szczegółowe odtworzenie świata, w którym porusza się Bratny: jego osobista historia odtwarzana jest, w kilku krytycznych momentach (jak wpadka AK-owskiej radiostacji, do której doszło jesienią 1943 roku w willi zamieszkiwanej przez Romana i jego rodzinę) z uwzględnieniem wszelkich możliwych wariantów, z poprawką na niepewność, z powracaniem (nienatrętnym; owszem, w trybie echa) tej sprawy w kolejnych odsłonach, na kolejnych płaszczyznach życia Bratnego (konspiracyjnej, politycznej, wreszcie osobistej). Bo też ta wpadka radiostacji (przetworzona, jak wszystkie ważniejsze doświadczenia jego wojennego życia, i na kartach „Kolumbów”, gdzie, jak pamiętamy, cudem ocalał Jerzy, i w kolejnych książkach) stała się jednym z wydarzeń Bratnego formatujących.

Skoro wspominam o „odbiciu” rzeczywistej historii w powieści: takich odbić – czasem wiernych, czasem wypaczonych czy załamanych (przez traumę czy za sprawą samooszustwa?), czasem boleśnie rażących, jak „zajązek” puszczany przez rozbite w trawie lustro czy butelkę jest w

prozie Bratnego, bezustannie uprawiającego „życiopisanie”, mnóstwo. Emil Marat świadom jest oczywiście zagrożeń, jakie pociąga za sobą zbyt łatwowerne akceptowanie tego rodzaju danych – i omija te rafy, stale stosując mechanizm podwójnej weryfikacji: znajomość „twardych” danych z życiorysu Bratnego pozwala mu wykryć modyfikacje czy koloryzację doświadczeń życiowych pisarza w materii literackiej, znając już zaś ten „wzór przekształceń” jest z kolei w stanie wydobyć z tekstów o charakterze fikcji szczegóły prawdziwego życia... Przypomina to trochę pracę asów wywiadu, sporządzających na podstawie odcisku palca silikonowy odcisk linii papilarnych, przy pomocy którego uzyskać można dostęp do komórki lub laptopa podejrzanego. Powtórzmy: koronkowa robota.

Historyk, filolog, stylist, szpieg

Robota która, mówiąc językiem chłodnej recenzji, wymaga umiejętności pracy z dziełem literackim jako źródłem historycznym. To kompetencja, na którą długo się pracuje – i która wymaga kolosalnego „naczytania” w tekstach z epoki. O tym horyzoncie lekturowym autora już wspomniałem – ale też widać go świetnie w cytatach z zapomnianych wierszy Bratnego, z nowel, wspomnień czy pamfletów nieoczywistych, niskonakładowych: późne książki Henryka Grynberga, wspomnienia Dowbór-Muśnickiego, wywiad-rzeka z Michałem Głowińskim, monografia Andrzeja St. Kowalczyka o Alfredzie Łaszowskim... (wśród tych bizarnych pozycji jedyną, która bardziej mnie zdumiała niż ucieszyła, była jedna z „śledczych” prac Tomasza Piątka). Jak potrafi Marat tę erudycję wykorzystać – widać choćby w

jednym z pierwszych rozdziałów, w którym odtwarza tułaczkę młodego Romana jesienią 1939. Wie o niej bardzo wiele – o wędrownicy na wschód po nieszczęsnym apelu płk. Umiastowskiego, o «klasycznym» nalocie myśliwca Luftwaffe na kolumnę uciekinierów i jego dwuzdaniowym echu w ostatniej powieści Bratnego – ale o ileż pełniejszy stał się ten obraz dzięki wbudowaniu weń fragmentu „wrześniowych” wspomnień młodego Jana Karskiego (Kozielewskiego) i opowiadania borykającego się z wrześniową traumą literackiego rywala i mistrza Bratnego, Tadeusza Gajcego?

Nie jest to tylko warsztat historyka: w „Hamlecie rozstrzelanym” widać kompetencje *sui generis* filologa. Marat potrafi prześledzić wpływ poetyki Juliana Przybosia na pierwsze próby poetyckie młodego Bratnego (a właściwie – jeszcze Mularczyka; konspiracyjny pseudonim stał się urzędowym nazwiskiem pisarza w kilka lat po wojnie) i przyrównać je do wpływu, jaki Przyboś wywarł na innego rówieśnika, rywala, przyjaciela i mistrza Bratnego – Tadeusza Różewicza. Potrafi streścić spór krytyków lat 40. – dostojnego Wyki, czupurnego Kałuzińskiego – o powojenne debiuty Bratnego i odnieść się do ich argumentów; odtworzyć – rozpisany na trzy epoki i osiem lat, formułowany w konspiracyjnych „Dźwigarach”, na oflagowej pryczy i w stalinowskiej „Nowej Kulturze” – manifest ideowy Bratnego, to żarliwe (choć niewolne od koniunkturalizmu!) wołanie o literaturę, która będzie kształtować życie narodu i którą tworzyć będą inteligenci wolni od hamletycznej składowej. Marat: historyk, filolog, stylist, szpieg (literacki).

Przy tym, co szczególnie sobie cenię w okopach naszych zimnych wojen domowych, Marat pozostaje obojętny na pokusę wielu uproszczeń, co i raz upominający się o Bratnego tam, gdzie wielu autorów

publikujących w Wydawnictwie Czarne, debiutujących dziennikarsko w Radiu Zet lat 90., nie wahałoby się ani chwili. Broni Bratnego (i Janusza Wilhelmiego, *bête noire* jeszcze ciemniejszej karnacji) w środku awantury marcowej, w której odegrali dwuznaczną rolę – myśląc, że idzie o wewnątrzpartyjną intrygę, zaskoczeni skalą i brutalnością antysemitki. Broni go w latach 70., angażującego się w nieefektywne, „pozytywistyczne” wstawiennictwa (większość pamięta, że zaangażował się w złagodzenie wyroku Jerzego Nasierowskiego; kto pamięta, że usiłował ocalić dokonania inżyniera Jacka Karpińskiego, niedoszłego ojca polskiej elektroniki?). Nie chodzi przy tym, podkreślam, o tak częstą u biografów chęć obrony „swojego” bohatera: chodzi o niechęć do szablonów, z których odrysowywane są streszczenia dziejów najnowszych. Przypomnienie zasług Wilhelmiego, przypomnienie momentu, w którym Tadeusz Borowski upomina się o dobre imię ludzi „Sztuki i Narodu”, występując przeciwko „pryszczatym” i trafiając na kilka miesięcy na indeks Borejszy – to są sytuacje nieoczywiste, nieznanne i źle widziane przez wszystkich, którzy historię kultury traktują instrumentalnie. Pozostaje obojętny z jednym, nużącym dla mnie wyjątkiem: dyspozycją do dystynkcji tam, gdzie w grę wchodzi obszary uznane przez za „prawicowe”.

Staram się nie rozwinąć tego wątku zanadto, to pewnie temat na oddzielny szkic, traktujący nie tyle o „Hamlecie rozstrzelanym” i jego autorze, co o pewnym zasadniczym zwichnięciu (czy może następującej po nim reakcji urazowej?) lwiej części współczesnej polskiej literatury, krytyki, publicystyki, która potrafi łączyć fantastyczną wnikliwość w wielu obszarach ludzkiego doświadczenia z uderzającą symplifikacją (lub ignorowaniem) sporego spektrum postaw, zaangażowani, sporów i

tekstów. Wrzuca je do worka z etykietką „prawicowe” – i pieczętuje, w najlepszym razie, lekceważeniem. Niestety, zdarza się to również Emilowi Maratowi.

Reguła trzech

Cytatów, które ilustrowałyby to, wypisałem ze trzy tuziny: nie przytoczę ich, bo są nużąco podobne, raz i drugi mamy po prostu do czynienia z traktowaniem jako płynnego continuum kategorii „prawicowy”, „nacjonalistyczny” i „faszystowski”. Ten politologiczny odpowiednik arytmetycznej „reguły trzech”, przyswajanej przed wojną w pierwszej klasie gimnazjum, stał się w tekstach dziennikarsko-perswazyjnych na tyle komunałem, że niemal nie razi, a przynajmniej nie zwraca uwagi: ale nie w tekstach klasy Emila Marata.

Niestety, tej „reguły trzech” jest w jego książce trochę: począwszy od zaangażowanych jesienią 1939 w szeregi „Miecza i Pług” – „oficerów i podoficerów o prawicowych poglądach, działaczy narodowych i chadeckich (biorąc pod uwagę przedwrześniowe realia, można by powiedzieć, że są to ludzie faszyzujący)”, poprzez „idące najczęściej w parze z polskim nacjonalizmem katolicyzm czy chrześcijaństwo jako takie”, poprzez osławionego księdza Pirożyńskiego który, jak się okazuje, przed wojną „był symbolem katolickiego konserwatyzmu”. Przebóg! Wielu spraw symbolem mógł być przed wojną ksiądz Pirożyński, i przedmiotem wielu celnych żartów Słonimskiego: ale kiedy słyszę frazę „przedwojenny katolicki konserwatyzm” myślę raczej

o Karolu Ludwiku Konińskim. I jestem przekonany, że Emil Marat, gdyby umknął sile swoich pierwszych skojarzeń, pomyślałby o nim także. Ale skoro okazuje się, że z „prawicowych tradycji” wywodził się (tuż po wojnie) Andrzejewski – cóż, to znaczy, że prawicowcem (narodowcem? faszystą?) może być niemal każdy.

Szczególnie dostaje się Bolesławowi Piaseckiemu, co dziwnym nie jest: „Dziś i Jutro” jest tej książce „pismem o falangistowskich korzeniach”, młody Piasecki używa „frazologii nacjonalistyczno-imperialnej”, jego zwolennicy to „brunatni akolici”, on sam zaś już po wojnie żywi „faszystowsko-nacjonalistyczne przekonania”; zdumiewa Marata fakt, że swoją książkę (wydaną przez PAX) zadedykował Piaseckiemu wyciągnięty przezeń z niebytu pepesowiec i piłsudczyk Stanisław Rembek – i tak dalej. Jestem dalibóg ostatnim (no, może przedostatnim), który broniłby Bolesława – ale można by oczekiwać że autor, który potrafi niuansować postać Janusza Wilhelmięgo, potrafi to uczynić i z Piaseckim. Nie czyni tego, bo założyciel ONR i PAX-u wydaje mu się winien katastrofy porównywalnej z doświadczeniem komunizmu. Tak przynajmniej zdaje się wynikać z poniższego akapitu książki (*nota bene*, chyba napisanego, jako jeden z nielicznych, dość pośpiesznie):

„Miłosz genialnie opisał zniewolony umysł, który się komunizuje... Pigułki Murti-Binga, jak u Witkacego, i tak dalej. Ale u nas zawsze był też «potencjał na prawo». Nikt nie napisał Zniewolonego umysłu tych młodych, utalentowanych, bardzo zdolnych narodowców. Wszyscy z „Prosto z Mostu” – [Wojciech] Wasiutyński i reszta, świetne pióra; młodzi w czasie wojny – «Sztuka i Naród», oczywiście Gajcy, Trzebiński, Stroiński: ludzie odważni, patrioci, zaangażowani, ale faszyzujący. To mogło wrócić po wielu latach

rykoszetem u Bratnego – ta fatalnie pojęta troska o naród. Coś takiego w Polsce ciągle było... Jakaś linia graniczna, która oddzielała jednych od drugich i kształtowała umysły” (s. 570).

Czy niewątpliwe przewiny Bolesława Piaseckiego równe są spuściźnie komunizmu? Ostrożniej: czy urzeczenie ideologią nacjonalistyczną w Polsce XX wieku było na tyle podstępne (i nienazwane), by domagało się napisania nowego „Zniewolonego umysłu”? To rzecz do dyskusji, choć książkę taką przeczytałbym chętnie. Bezdyskusyjne jest natomiast istnienie „linii granicznej, która oddziela jednych od drugich”. Pytanie, na ile z dobrą wolą wykreślaną i kogo obejmującą. Czerwony ślad kredki wydaje się czasem być stawiany równie swobodnie co na mapach jałtańskich, skoro w innym miejscu (s. 565) Marat pisze: „Raporty z podsłuchów i doniesienia agentów SB pełne są opisów «frakcyjnej walki» w łonie KOR. Endecko nastawieni działacze wiosną 1977 roku powołali do życia Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela”.

Andrzej Czuma i o. Ludwik Wiśniewski OP działaczami endeckimi? To przykład uproszczeń o tyle jaskrawych, że kilka stron dalej Marat pisze o zamieszczonej w 1980 na łamach podziemnego „Bratniaka” („pisma (...) bliższego ROPCiO niż KOR”) „nocie o książce Bratnego pióra Antoniego Pawlaka”. Antoni Pawlak w piśmie endeckim? No właśnie.

Rachunek logiczny zdań

Głębszym niż nazwiska dowodem na zawłość tej „linii oddzielającej jednych od drugich”, a tak naprawdę – oddzielającej od siebie kategorie „prawicowości”, „nacjonalizmu”, etc. – wydaje mi się być zdanie z połowy książki, jedno z wielu – syntetycznych, stawiających sobie za cel wymierzenie sprawiedliwości „Kolumbom”, co jest stałym, niezamkniętym wysiłkiem Marata: „Jest nieco paradoksalne, że Bratny – w czasie wojny i później, od przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w poglądach właściwie nacjonalista – zdaje się przypisywać bohaterom swojej powieści przekonanie, iż państwo, o które walczą, nie jest wartością samą w sobie”.

Zwróćmy uwagę na konstrukcję tego wywodu myślowego: co może być paradoksalnego w sytuacji, w której autor o poglądach A przypisuje bohaterom swojej powieści poglądy B? Jeśli ta powieść traktuje o doświadczeniach samego autora i środowiska, z którego się wywodził, i które chciał przedstawić możliwie wiernie – to paradoksalny może okazać się jedynie fakt, że poglądy B są nietożsame z poglądem A. Byłoby, owszem, nieco paradoksalne, gdyby na przykład Wiktor Gomulicki, patriota starej daty, przypisał bohaterom „Wspomnień niebieskiego mundurka” przekonanie, że pilna nauka, a następnie konwersja na prawosławie i kariera w szeregach korpusu urzędniczego Imperium są wartością samą w sobie. Podobnie byłoby paradoksalne, gdyby Manuela Gretkowska przypisała bohaterom „Tarota paryskiego” przekonanie, że właściwe jest podporządkowanie się zastanym wzorom społecznym, skromność i pobożność. To proste jak rachunek zdań, p i ~p.

Innymi słowy – skoro według Marata „jest nieco paradoksalne, że Bratny (...), w poglądach **właściwie nacjonalista** [podkr. tu i dalej moje, ws] zdaje się przypisywać bohaterom swojej powieści przekonanie, iż **państwo, o które walczą, nie jest wartością samą w**

sobie”, to znaczy, że zdaniem autora „Hamleta rozstrzelanego” poglądem nacjonalistycznym (a w konkretnej sytuacji narracyjnej – nieparadoksalnym) jest przekonanie, iż niepodległe państwo jest wartością samą w sobie.

Wydaje się, że właśnie to przesunięcie znaczeniowe – uznanie, że nacjonalizmem jest nie tylko uznanie za wartość samą w sobie narodu, lecz również suwerennego państwa – może być źródłem wspomnianego chaosu pojęciowego. Pociągającego za sobą (ale to, jako się rzekło, temat na odrębny tekst) daleko sięgające konsekwencje.

Rezygnuję w tym miejscu z polemiki, chociaż jest jeszcze kilka obszarów, w którym chętnie bym ją podjął: wydaje mi się, że nie jest do końca niewinne – w tym sensie, że anachronicznie rzutuje dzisiejsze podziały i idiosynkrazje w pełną innych znaczeń przeszłość – określenie Ewy Pohoskiej (dramatopisarki i poetki, żołnierza AK, związanej z socjalistyczną grupą „Płomienie” i współzałożycielki miesięcznika „Droga”, rozstrzelanej w lutym 1944) mianem „lewaczki”. W przywołanym za „Rokiem w trumnie” działaczu „S”, który „chciał się widzieć jako figura podziemia, w istocie był niegroźnym dla władz pionkiem, do którego drzwi nikt nie łomotał” domyślam się – może niepotrzebnie – dość obiegowej w Warszawie, personalnej i całkiem współczesnej złośliwości. Zastanawia mnie przychylność Marata dla interpretacji Powstania Warszawskiego dokonanej przez Andrzeja L. Sowę i, znacznie bardziej – dla tez o roli Polaków w Zagładzie stawianych przez Jana Grabowskiego. Nie chciałbym jednak żeby uwagi krytyczne, które mógłbym sformułować, przeważały w całościowej ocenie „Hamleta rozstrzelanego”.

Palimpsest

Który – powtórzę to raz jeszcze – jest książką naprawdę bardzo wybitną. Również dlatego, że – tego jeszcze nie zdążyłem powiedzieć – jest to książka napisana fantastycznym, żywym, poetyckim językiem, zdolnym do rzymskiej lakoniczności, do zawieszenia głosu (i uwagi czytelnika), do nakreślenia obrazu, który porywa nas i wzrusza.

Dotychczasowe cytaty nie oddawały temu językowi sprawiedliwości. Może ten, traktujący o ręcznie przepisany przez Bratnego tomiku Przybosia, który młodszy poeta ofiarował starszemu, choć trochę go odda?

„Na pierwszej stronie zamaszyste pismo pełne zawijasów. Dwa odcienie atramentu: ten z 1943 roku, z tytułem tomiku, jasny, wyblakły, i ten piętnaście lat późniejszy – granatowy, mocny. I z koloru, i z charakteru pisma bije już pewność siebie – dedykacja datowana jest na 15 listopada 1958 roku, a więc po pierwszej fali wielkiego sukcesu Kolumbów. Rocznik 20. Ta karta jest jak palimpsest: nazwisko «proroka awangardy» i tytuł jego zbioru tworzą znikające tło dla późniejszego «Julianowi Przybosiovi – jego własny tom przepisany w ciemnym '43 roku w bibliotece na Koszykowej przez nieprzytomnego entuzjastę R. Bratnego»”.

Tak napisana jest ta książka, stąd płynie jej niewątpliwa wartość literacka: ze zdolności do mnożenia skrótów, paradoksów, z kryptocytatów i krypto-autocytatów, z umiejętności „zszycia” nieprzystających do siebie dekad jednym przeszyciem igły, niczym skrót, które możliwe są w przestrzeniach nieeuklidesowych... „My sami – tacy mali, / krok jeszcze – przejdziem w mit”, pada znajomy cytat z Baczyńskiego na pierwszych stronach biografii – i wraca, jako oskarżenie? niespełnienie? zadanie? – w 350 stron dalej. „Wiesz, on ciągle to samo, w kółko ciągle to samo, ciągle i ciągle to samo” powie w 1987 Tadeusz Różewicz o późnych prozach Bratnego – i diagnoza ta przywołana zostanie dla scharakteryzowania książek Bratnego o ćwierć wieku wcześniejszych. Ba, samo podzielenie biografii na trzy części zatytułowane tak, jak trzy kolejne tomy „Kolumbów” („Życie po raz pierwszy” (w przypadku Bratnego – 1921-1944), „Życie po raz drugi (1945-1975) i „Śmierć” (1976-2017) – jak świetny skrót stanowi!

Zastanawiałem się, podczas gorączkowej lektury tej książki, czemu powstała. Niepotrzebnie, skoro sam wyliczyłem powyżej uzasadnienia, z których najprostsze brzmi – „bo warto wiedzieć, kim był autor «Kolumbów»”. Marat mnoży zresztą wymowne racjonalizacje, stale zmagając się z pytaniem „Czemu Bratny”. „Czy «Rok w trumnie» unieważnia powieść z 1957 roku? – pyta. – Czy postawa autora, w wielkiej mierze nieuczciwa, przekreśla wszystko, co stworzył? Czy nie ma sensu zastanawiać się nad źródłami owej postawy? (...) Ale autor «Roku w trumnie» był jednocześnie ojcem Kolumba, Zygmunta, Ola, Niteczki... Nie, nie ojcem. Był ich portrecistą. Co z tym począć?

Tak bardzo kuszące staje się pytanie: czy Bratny zrobił ze swoich czytelników – w części ich jestestw – Kolumbów? Czy zbudował swoją najważniejszą powieścią coś, z czym później, jako człowiek dojrzały i pisarz, który dekonstruował własny sukces (ten prawdziwy), w istocie walczył?”.

To świetne pytania i świetne uzasadnienia. Ale, zapatrzony w dociekliwość Marata, zastanawiam się – czemu akurat on? I czy, prócz wszystkich meandrów i zagadek, opisanych w książce, coś jeszcze mogło go w losach Bratnego pociągać?

Oszukany, bezradny, zły

Na pozór odpowiedź jest banalna, wisi na brzegu Wikipedii: wokół „pokolenia Kolumbów” Emil Marat krążył niemal od początku swojej kariery pisarskiej. W roku 2014 wydał (wspólnie z Michałem Wójcikiem) „Made in Poland”, czyli wywiad-rzekę ze Stanisławem Likiernikiem, żołnierzem Kedywu AK, jednym z pierwowzorów powieściowego „Kolumba”; w 2018 ukazał się „Sen Kolumba”, czyli doskonale napisana biografia Krzysztofa Sobieszczańskiego, który również użył rysów tytułowemu bohaterowi trylogii. W międzyczasie opublikował jeszcze Marat, również wspólnie z Michałem Wójcikiem, „Ptaki drapieżne” traktujące o oddziale likwidatorów AK oraz wywiad-rzekę ze Stanisławem Aronsonem – żołnierzem Kedywu, konspiracji poakowskich i Sił Zbrojnych Izraela.

Czemu akurat oni? Co, prócz oczywistego przenikania się literatury i życia, losów wojennych i powojennych, łączy Likiernika, Sobieszczańskiego i Bratnego, i ich biografistów? Jaki rys pisarstwa Bratnego, jakie jego uwrażliwienie mogło się okazać szczególnie pociągające? Inspirujące? Warte przywołania?

Hipoteza, jaką tu stawiam, jest trudna do udowodnienia: przedstawiam ją raczej jako domniemanie, namysł, skojarzenie, które rodzi się na styku literatury i współczesności, jest trochę z ducha dyskusji redaktorów „Dźwigarów” i „Drogi” z roku 1943, dyskusji, których żaru i uczciwości tak rozpaczliwie dzisiaj brakuje.

Żeby ją przedstawić, konieczne są jednak – wytrzymaj, czytelniku – jeszcze cztery cytaty:

„Podbudową tego wszystkiego – pisze Marat o sięgającym po pióro młodym Bratnym – i tak pozostanie w jego przekonaniu (...) fałsz przeświadczenia o polskiej potędze w 1939 roku, a jeszcze głębiej – uniwersalna ludzka skłonność do akceptacji, a nawet celebrowania, każdego kłamstwa, o ile jest to wygodne i miłe”.

„Być może rzeczywiście przewidział lub wyczuwał – pisze z kolei o starym, rozczarowanym Bratnym – że już zaraz, parę lat po ‘89, tak właśnie, w sposób uproszczony, będzie postrzegany PRL: tutaj pozytywni «podpalacze» – niezłomni, opozycja i de facto całe bohaterskie, ofiarne społeczeństwo zniewolone przez komunizm, a z drugiej strony «czerwona zaraza» – obca przemoc i zdrajcy, agenci,

donosiciele. Biel i czern. Taki opis pięćdziesięciu lat jest prosty i sprzyja tworzeniu legend. Zapewne w jakiś sposób poprawia też samopoczucie. Prawda, ta socjologiczno-historyczna prawda, była jednak inna: dziewięćdziesiąt procent ludzi w PRL w żaden sposób nie kontestowało fatalnego ustroju, do PZPR należały trzy miliony, pozostałe miliony chciały po prostu żyć. Po wielkim zrywie «Solidarności» w latach osiemdziesiątych również przeważał – by nie użyć słowa «marazm» – powiedzmy: spokój, od czasu do czasu przerywany papieską fiestą i mistrzostwami świata w piłce nożnej.(...) Gdy się okazało, że oto większość obleka się w biel i zdaje się po latach przyjmować biało-czarny historyczny mit za swój własny, w wyczerpujący sposób tłumaczący wszystko – tym bardziej poczuł się zdradzony. Nawet oszukany. Zły. I bezradny”.

I jeszcze ostatnie zdania książki – które są mistrzowskim, powtórzę tę ocenę, zamknięciem nawiasu postawionego u jej początku, sześćset stron wcześniej. U jej początku przywołana jest wypchana Kasztanka, zapamiętana przez małego Mularczyka podczas wizyty z ojcem w Belwederze – i, kilka stron dalej, opisane z „wajdowską” swadą piękno garnizonu, w którym dorastał przyszedł pisarz: „Amarantowe proporce, stukot kopyt na bruku, wierzchowce lśniące jak atłas, polowania i turnieje strzeleckie”. A w zakończeniu? W zakończeniu opisane jest siedlisko-przytułek dla starych koni, założone przez najmłodszą córkę pisarza, Berenikę: miejsce, gdzie pisarz spędził ostatnie lata życia:

„Konie z gospodarstwa Bereniki mają różne historie (...) Tworzą stado rządzące się własnymi regułami. Same wybierają miejsce do spania. Mają też wzgórze, gdzie chodzą chorować. Czasem stado za dnia zapada w stan półsnu, jakby konie śniły na jawie. Stoją nieruchomo i medytują.

Odbija się w ich oczach świat.
Wracają do obejścia, kiedy chcą.
Nie ma jeźdźców, amarantów, nie ma trąbki na capstrzyk ani
brzęczących ostróg.
Konie powoli stukają kopytami o bruk podwórza. Przychodzą,
jakby chciały się tylko rozejrzeć, zobaczyć, co się dzieje.
Najczęściej robią to wieczorami, o zmierzchu”.

I ostatni cytat, najmniej oczywisty – za to jednozdaniowy. Pisząc o serialu „Kolumbowie” Marat wspomina:

„Dużo znaczyła muzyka Jerzego Matuszkiewicza – patetyczna, ale niepozwalająca się zapomnieć”.

Trudno o wątlejszą poszlakę – ale właśnie to „ale” stało się dla mnie drzazgą i kluczem.

Nazwy i znaki

Muzyka patetyczna? Termin piekielnie nieprecyzyjny, ale wiadomo, co autor przezeń rozumie, jak rozumiemy go my: to może być Beethoven, to może być Ennio Morricone, to może być Jerzy Matuszkiewicz: zawsze będą to jakieś basy, jakieś czynele, jakieś *forte* i jakieś *staccato*.

Można to lubić, można nie lubić; ja chyba nie lubię, ale jednym z kilku ściegów muzycznych, które wracają do mnie w gorączce albo w zapamiętaniu przy rąbaniu drewna jest Piąta Beethovena. Tu-tu-tu-tu! Banalne jak melodie gwizdane w dawnych francuskich komediach przy goleniu. Ale: niezapomniane. Melodie „patetyczne” mogą być (często są) banalne, napuszone, tromtadrackie, niepasujące do współczesnej wrażliwości – ale zwykle bywają niezapomniane. Po to są, dlatego się je komponuje, dlatego cieszą się popularnością kanały radiowe z „muzyką poważną i filmową”: bo to jest coś, co się pamięta. Tu-tu-tu-tu.

Fraza „patetyczna, **ale** [podkr. moje, ws] niezapomniana” jest w moich oczach świadectwem jakiejś idiosynkrazji. Może nawet: świadomie wybranej idiosynkrazji.

Pozostałe trzy cytaty są bardziej jednoznaczne: Bratny, jak wielu z jego pokolenia, przeżył Wrzesień jako zdemaskowanie wielkiego fałszu. Wie to każdy ojciec: w oczach syna nie przegrywa się bezkarnie. Ogromna większość literatury „powrześniowej”, od Szczepańskiego, przez Gajcego, po Dygata i Brandysa to „porachunki”, to drwina z dętego patosu II RP: drwina, która była jedynym sposobem na uwolnienie się od upokorzenia i rozpaczy.

Bratny okazał się w tym najbardziej konsekwentny (bo najgłębiej przeżył to upokorzenie, zapatrzony w swojego ojca-pułkownika?). Bohaterowie jego kolejnych powieści drwią z ułańskiej rekwizytorni, z beliniackiego czaka, które stało na szafie w gabinecie Józefa

Mularczyka – aż po „Rok w trumnie”, gdzie „CZAKO” to akronim kretyńskiego, nastoletniego „Centralnego Zarządu Akcji Komandosów Ojczyzny”.

Jako skłamanie postrzegał nie tylko patos II RP. Również – patos „S”. I – „solidarnościowej” wizji historii, brzmiącej jak następuje: „Już zaraz, parę lat po ‘89, tak właśnie, w sposób uproszczony, będzie postrzegany PRL: tutaj pozytywni «podpalacze» – niezłomni, opozycja i de facto całe bohaterskie, ofiarne społeczeństwo zniewolone przez komunizm, a z drugiej strony «czerwona zaraza» – obca przemoc i zdrajcy, agenci, donosiciele. (...) Prawda, ta socjologiczno-historyczna prawda, była jednak inna: dziewięćdziesiąt procent ludzi w PRL w żaden sposób nie kontestowało fatalnego ustroju, do PZPR należały trzy miliony, pozostałe miliony chciały po prostu żyć”.

To jeszcze Bratny, czy już Marat?

W tym opisie wizji historii wątpliwości dotyczą wyboru między dwoma autorami: przedostatni z cytatów, obraz siedliska dla starych koni, ma w moich oczach więcej domniemanych rodziców. Były „Amarantowe proporce (...) i wierzchowce lśniące jak atlas”. A teraz? „[Konie] stoją nieruchomo i medytują. Odbija się w ich oczach świat. (...) Nie ma jeźdźców, amarantów, nie ma trąbki na capstrzyk ani brzęczących ostróg”. Ręka sama dopisuje do tego obrazu jeszcze jeden (noblowski!) cytat:

„W trawie, która porosła
przyczyny i skutki,
musi ktoś sobie leżeć
z kłosem w zębach
i gapić się na chmury”.

I może jeszcze drugi, też noblowski, i traktujące o autorze, który też na Nobla się oglądał:

„Za względne uznać wszystko, no bo mija
(...) Jest melancholia przecie w takiej doli”.

Historia ludzka, która rozwija amarantowe proporcje, brzęczy ostrogami i gra na capstrzyk – zdaje się raz jeszcze mówić autor „Hamleta rozstrzelanego” – jest oszustwem, a w najlepszym razie – *theatrum*, które przemija i tleje szybciej niż nam się wydaje. Były kiedyś capstrzyki, ostrogi i amaranty – ale minęły. Trwa cichy zmierzch, czas (by sięgnąć po formułę filozofa Andrzeja Marca) „antropocienia”, czas bytów nie-ludzkich. I całe szczęście.

Na pewno odraza do patosu była idiosynkrazją Bratnego. Także – jestem tego pewien po lekturze „Snu Kolumba”, „Made in Poland”, „Ptaków drapieźnych” i „Wojna nadejdzie jutro” (Aronson) – jego współtowarzyszy broni. Być może to idiosynkrazja, być może stres pourazowy, być może forma obrony: radykalne, całościowe odrzucenie już nie muzyki, lecz „narracji patetycznej” jest im wspólne.

Za tym zaś idzie nieufność, może więcej: przekonanie, że fałszywa – więcej: kłamliwa – jest każda narracja czy perswazja odwołująca się do bytów ponadosobowych, idealnych i urojonych. Na pewno ton antypatetyczny, niechętny wszelkiej retoryce ojczyźnianej pojawił się z wyjątkową siłą w przywołanej już literaturze powrześniowej. Był obecny i szerzej: w „Zdążyć przez Panem Bogiem” i w skrzydlatych słowach Jacka Kleyffa, radykalnie odrzucającego „nazwy i znaki”: słowach, przez tyłu wziętych za dewizę. Jest stale obecny, w biografkach i kabaretach.

Czy to tym tonem – obok legendy „Kolumbów” – natchnął Bratny kolejne roczniki pisarzy polskich? Czy to ta nuta przyciągała, przez lata, grupę badaczy losów wojennego pokolenia?

Nie wiem. Moje pytanie, agrafka wątpliwości, rozpięte jest na jednym „ale” i gorączkowej lekturze sześciuset stron.

Jeśli by jednak tak było – książka ta nie jest do końca utrzymana w tym tonie, nie stanowi spełnienia programu „zniesienia bytów ponadosobowych”.

O tym, że „Hamlet rozstrzelany” jest portretem, który ocala, była mowa już wcześniej. Nie znam kursów wymiany, ale biografia, która wydobywa swojego bohatera z półcienia, pół-bytu pobłażliwej drwiny warta jest wielu takich, które wydobywają kolejne postaci z cichej – o, takich fraz Bratny na pewno nie lubił, i doskonale go rozumiem – „otchłani zapomnienia”. „Ten sam zapach i klaskanie kopyt po

kamieniach będą mu towarzyszyć również w godzinie śmierci. Nie, nie w domniemanych reminiscencjach przeszłości – proszę nie spodziewać się w tej książce tego typu psychologizowania. Dosłownie: stare, wykupione z rzeźni konie wieczorami samopas schodzą z pól do stajni w poniemieckim siedlisku, z trudem remontowanym przez młodszą córkę Bratnego. Dach prawie się zapada, dużo much, cisza mazurskiego końca świata i on, zapomniany pisarz-gwiazda, dogorywający w drugiej dekadzie XXI wieku przy otwartym oknie w pokoju na poddaszu”. To za sprawą takich zdań niektórym biografom dana jest na chwilę moc Odysa, karmiącego posoką cienie. „Zachodzące słońce, pot na skórze, pęd, galop w stronę horyzontu, młodość. Poetycka stylizacja? Może tak było, może nie, cóż z tego. Przecież to i tak na zawsze prawda”. No właśnie.

Ale jest coś jeszcze. Ten spór, który Marat toczy z samym sobą do końca książki, bez rozstrzygnięcia („Czy Bratny mógł być świadomy, że przywracając młodych AK-owców i Powstanie Warszawskie «oficjalnej» pamięci, tworzy coś znacznie trwalszego niż tylko wspomnienie lub historyczna powieść o heroizmie?”), ta gigantyczna praca, którą wykonał. To one sprawiają, że Bratny – skłócony wewnętrznie, nieuczciwy, oportunistyczny, chętny prestiżu i zaszczytów, kogut, mistrz brulionowej frazy – staje się z powrotem częścią literatury polskiej. Która istnieje, chociaż jest bytem idealnym i ponadosobowym.

Całe szczęście.

Emil Marat, „Bratny. Hamlet rozstrzelany”, Wydawnictwo Czarne, 2024

Wojciech Stanisławski



Brak zdjęcia

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie. Wcześniejsze to m.in:

- *Empireum na Elektoralnej*
- *Nowoczesne historie Ukrainy*
- *Lastryko, dębina, siena palona*
- *Szaranagajama*
- *Na górze czajnik, na dole krzyk. Koszykowa*
- *Dumka o imperium*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
